

LAURA BALDINI

MARZENIE
O PIĘKNIE

JAK ESTÉE LAUDER
ZBUDOWAŁA IMPERIUM I STAŁA SIĘ LEGENDĄ

PRZEŁOŻYŁA

DANUTA FRYZOWSKA

MARGINESY

Ein Traum von Schönheit.

Estée Lauder – Sie schuf ein Imperium und wurde zur Legende

COPYRIGHT © Piper Verlag GmbH, München

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Danuta Fryzowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2023

Manhattan, Nowy Jork, wiosna 1947

Przed wejściem do teatru ciągnęły się sznury zielonych taksówek, z których rozbrzmiewał jazgot klaksonów. Przypominający wieżę budynek wznosił się ku zasnutemu chmurami niebu, konkurując z otaczającymi go wieżowcami. Ludzie w eleganckich wieczorowych strojach wysiadali z taksówek i śpieszyli w mżawce ku jasno oświetlonemu portalowi, nad którym rozpięty był świetlny łukowaty napis: Paramount. Poniżej na obramowanej tabliczce widniał adres: Broadway 1501.

Przekroczywszy próg suchego holu, goście przepychali się dalej w stronę szatni, gdzie ponownie ustawiali się w kolejce – tym razem, aby oddać swoje płaszcze i kapelusze. Okutane w futra panie w ekskluzywnych nakryciach głowy na perfekcyjnie ułożonych falach tłoczyły się obok panów w czarnych smokingach.

Estée stała zaklinowana między dwoma korpulentnymi damami, wdychając zapachy Dorothy Gray, Elizabeth Arden i Charlesa Revsona zmieszane z potem, alkoholem i aromatycznym tytoniem. Do tej barwnej mieszanki niosącej obietnicę czarującego wieczoru wkładła się także nuta jej własnych perfum, które dodała wczoraj do kremu do twarzy. Olejki eteryczne pozyskała z niepozornych roślin, które rosły na pokrytych trawą plażach Coney Island, pośród wydmi i sitowia. Estée zebrała je w zeszłym tygodniu, a teraz z nostalgią wspominała tamto beztroskie popołudnie. Pomimo doskwierającego w kolejce

gorąca miała wrażenie, jakby wciąż czuła na rozgrzanych policzkach powiew chłodnego wiatru. Bryza delikatnie muskała jej skórę, kiedy Estée obserwowała łagodnie kołyszące się fale Atlantyku, które raz po raz wdzierały się na plażę i...

– Nasza kolej, skarbie. – Głos Charlesa sprowadził ją z powrotem na ziemię.

Mężczyzna pomógł jej zdjąć cienki płaszcz, podał go młodej szatniarce, a ta z uśmiechem wręczyła mu numerek.

– Napijesz się szampana, zanim zasiądziemy na dusznej widowni?

Biegące z boku szerokie schody wyłożone czerwonym dywanem prowadziły do baru, w którym przed występem i podczas przerw oferowano napoje i drobne przekąski.

– Tak, chętnie.

Estée lubiła ten wytworny trunek serwowany w kieliszkach na długich nóżkach o ściankach tak cienkich, że człowiek bał się, iż rozpadną się w dłoni przy zbyt mocnym ściśnięciu. Szampan stanowił kwintesencję luksusu i bogactwa. Jeszcze przed kilkoma laty Estée oddałaby wszystko, żeby móc skosztować choćby odrobinę tego musującego aperitif, który teraz traktowała jak coś oczywistego. Zaczynała od niego każdy wieczór spędzany poza domem – a w ostatnich miesiącach było ich sporo.

Charles i Estée podeszli do baru.

– Poczekaj tu – rzucił Charles i delikatnie popchnął Estée w kierunku jednego ze stolików stojących pod przeszkloną fasadą, skąd mogła obserwować innych gości.

Zeszły się najważniejsze osobistości nowojorskiej socjety – ze świata sztuki, gospodarki i polityki. W rogu sali Hedy Lamarr gawędziła z Clarkiem Gable'em. Obok aktorów Estée rozpoznała też właścicieli Bonwit Teller, jednego z najbardziej ekskluzywnych domów towarowych przy Piątej Alei. Mieścił się w budynku tak niezwykłym, że ludzie zjeżdżali tu z różnych stanów tylko po to, żeby nasycić wzrok widokiem jego elewacji – istnego arcydzieła z platyny, brązu

i młotkowanego aluminium. Estée skinęła uprzejmie głową w kierunku Waltera Bonwita, syna założyciela owego salonu handlowego. W przyszłym tygodniu była z nim umówiona na spotkanie, żeby zaprezentować nową paletę kosmetyków – niepowtarzalna okazja, którą zawdzięczała Charlesowi. Estée powinna właściwie tryskać radością, tymczasem myślała o tym z upiornym wręcz spokojem. Być może dlatego, że wiedziała, iż stoi na wygranej pozycji. Walter Bonwit zapewnił bowiem Charlesa, że udostępni jej u siebie stoisko.

Estée powiodła wzrokiem dalej, ku barowi, przed którym ustawiła się już kolejka. Stali tam wyłącznie mężczyźni i cierpliwie czekali. Ani jedna kobieta nie była chętna, by zafundować drinka mężczyźnie, a ci, którzy na to pozwalali, stawali się obiektem drwin.

Charles nie ścierpiałby, gdyby to Estée płaciła za napoje. To zresztą on załatwił nieprzyzwoicie drogie bilety na dzisiejszy wieczór. Czekało ich niebywałe widowisko, a miejsca na widowni zostały wyprzedane w ciągu zaledwie kilku godzin. Grał dziś Benny Goodman z zespołem, ale przed nim miał wystąpić młody, dobrze rokujący piosenkarz, któremu przepowiadano wielką karierę. Był to Frank Sinatra; w zeszłym roku wypuścił on wielki przebój wraz z Tommym Dorseyem. Estée lubiła ich piosenkę *All or Nothing at All*. Ostatnio jednak rzadko jej słuchała, ponieważ melancholijna melodia wprawiała ją w zbyt przygnębiający nastrój. A potem Estée przyłapywała się na tym, że oczy zachodziły jej łzami, i popadała w nostalgię.

– Pani Lauder?

Podeszła do niej młoda kobieta w wąskiej, długiej do kostek sukni wieczorowej. We włosy miała wpięte złote piórko, którego nerwowe falowanie dorównywało podnieceniu jego właścicielki. Estée nie mogła zignorować tego krzykliwego akcesorium. Ten, kto usiądzie za nią na widowni, przez cały wieczór nie będzie widział niczego innego.

– Niedawno spotkałam panią w Saksie – trajkotała z przejęciem kobieta. – Pani stoisko jest wspaniałe, po prostu wspaniałe.

– Cieszę się, że się pani podoba. Dziękuję.

– Oczywiście inne stoiska też są niczego sobie. Ale to pani jest wyjątkowe, a wie pani dlaczego?

Spojrzała z wyczekiwaniem na Estée, trzepocząc przy tym doklejonymi rzęsami, które Estée najchętniej by wyskubała. Jak taka ładna kobieta mogła się tak oszpecać? A przecież miała symetryczną i szczupłą twarz, kształtne usta i oczy o nadzwyczajnym odcieniu zieleni.

Kobieta kontynuowała, nie czekając na odpowiedź:

– Bo sama je pani obsługuje. To dlatego jest takie wyjątkowe. Wszyscy mogą zobaczyć, że pani kosmetyki naprawdę są skuteczne. Pani jest tego żywym dowodem. Uosobieniem piękna.

– Bardzo dziękuję! – To nie pierwszy raz, kiedy komplementowano wygląd Estée.

– Poza tym pani kremy są dostępne dla wszystkich kobiet i nieprzesadnie drogie. – Nieznajoma zniżyła głos: – To strasznie niesprawiedliwe, że tylko te krezuski mogą pozwolić sobie na bycie pięknymi.

– Całkowicie się z panią zgadzam – powiedziała Estée. – Każda kobieta ma prawo do tego, żeby nieco dopomóc naturalnemu pięknu, które w niej tkwi. – Mrugnęła konspiratorsko do nieznajomej.

Ta aż klasnęła z zachwytu dłońmi odzianymi w długie czarne rękawiczki, które sięgały jej do łokci. Nachyliła się nieco zbyt poufale do Estée i odchrząknęła zakłopotana.

– Może udzieli mi pani drobnej porady? Chciałabym dziś wyglądać szczególnie ładnie. – Jeszcze bardziej zniżyła głos. – Jestem tutaj z pewnym młodzieńcem, na którym chcę zrobić wrażenie.

Estée się zawahała. Kobieta z pewnością spędziła wiele godzin przed lustrem, żeby ułożyć włosy i się umalować. Mimo to sprawiała wrażenie zestresowanej. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, były rady, które jeszcze bardziej by ją speszyły.

– Wygląda pani olśniewająco – stwierdziła Estée.

– Naprawdę? – Ten komplement wystarczył, żeby kobieta się wyprostowała i wypięła dumnie pierś. – Ale może i tak nadałaby mi pani ostatni szlif? Widziałam, jak doradza pani klientkom w Saksie.

Estée znowu zaczęła się miotać. Młodej kobiecie najwyraźniej bardzo zależało na jej opinii.

– Jeśli pani chce, mogę tu i ówdzie coś poprawić.

– Bardzo dziękuję! – Kobieta odetchnęła z ulgą.

– Ale naprawdę tylko po to, żeby panią uspokoić – dodała Estée. – Bo już teraz wygląda pani wspaniale. – Położyła torebkę na stoliku, otworzyła ją i zaczęła szukać swojego *glow*, czyli jasnoróżowego rozświetlającego pudru. – Dzięki temu na policzkach można wyczarować delikatny połysk. – Estée odkręciła słoiczek i podała go młodej kobiecie.

– Czy byłaby pani tak miła...?

Nieznajoma rzuciła ukradkowe spojrzenie przez ramię. Jej piórko zsunęło się przy tym bardziej na czoło, a sztuczne rzęsy przy lewym oku się odkleiły.

– O nie! – Zrozpaczona złapała się za twarz i zaczęła gorączkowo mrugać. Przez chwilę Estée bała się, że zacznie płakać i całkiem rozmaże sobie makijaż.

– Nic się nie stało – uspokoiła ją, a potem złapała ją za przedramię i odwróciła twarzą do zasłony, tak aby nikt jej nie wdział.

– Czy mogę zdjąć to piórko? Żeby nałożyć pani *glow*?

– Tak. Proszę zrobić wszystko, co w pani mocy.

Estée pośpiesznie wypięła piórko z włosów, odkleiła rzęsy przy drugiej powiece i usunęła chusteczką resztki kleju. Następnie ostrożnie wklepała puder w policzki młodej kobiety i rozprowadziła go opuszkami palców. Potem cofnęła się o krok, żeby ocenić efekty swojej pracy. I była bardzo zadowolona z tego, co zobaczyła.

– Chce pani rzucić okiem? – Estée wyciągnęła z torebki lusterko i podała je kobiecie. W jednej chwili jej twarz rozświetlił uśmiech.

– Jest pani genialna, pani Lauder. Wyglądam naprawdę ładnie.

– Pani jest naprawdę ładna – poprawiła ją Estée. – Każda kobieta jest ładna. Musi po prostu odkryć w sobie piękno. A w tym pomogą odpowiednie produkty.

– Sprzeda mi pani ten puder?

– Chętnie. – Estée się roześmiała. – Jutro od dziesiątej będę w Saksie przy Piątej Alei.

– I ja też się tam zjawię.

Estée pohamowała podekscytowaną kobietę.

– Nie powinna pani czuć się ładnie wyłącznie w jeden wieczór, tylko każdego dnia – stwierdziła. – I proszę nigdy nie starać się być ładną dla mężczyzny, tylko dla siebie.

– Słucham?

– Jest pani warta tego, żeby o siebie zadbać. Dzięki temu z każdym dniem będzie się pani czuć lepiej. Proszę mi zaufać.

Młoda kobieta zamyśliła się na chwilę, po czym pożegnała się z uśmiechem i z uniesioną głową wróciła do swojego towarzysza.

– Nie mów, że właśnie udzieliłaś konsultacji kosmetycznej. – Charles, który obserwował scenkę z pewnej odległości, podszedł i podał Estée szampana. Małe bąbelki wzbily się w górę z dna kieliszka.

– Ta kobieta mnie rozpoznała – wyjaśniła Estée. – Poprosiła mnie o małą poradę.

– To naprawdę godne pochwały, że tak bardzo poświęcasz się dla swojej marki. Podziwiam cię za to – oświadczył Charles. – Ale Paramount Theatre nie jest odpowiednim miejscem do takich konsultacji.

– Każde miejsce jest odpowiednie – odparła Estée. – Ostatnio sprzedałam dwa słoiczki kremu w windzie.

– Naprawdę? – Charles przewrócił oczami, po czym upił łyk z kieliszka.

Dobrze się prezentował w skrojonym na miarę garniturze i eleganckiej koszuli. Włosy miał starannie zaczesane do tyłu i wygładzone woskiem; każdy kosmyk był na swoim miejscu. O dziwo, Estée wolałaby, żeby tak nie było. Jego modny wąsik również był idealnie przystrzyżony. Ciekawe, czy spał z bindą na twarzy.

– Och, tam stoją Mike i Benjamin Ravenowie – zauważył. – Muszę zamienić z nimi słowo.

– Śmiało – powiedziała Estée. – Jestem już dużą dziewczynką i dam sobie radę sama.

– To nie potrwa długo. Chyba że chcesz iść ze mną? Muszę z nimi pomówić o nowej produkcji, która ma się pojawić jesienią.

Estée odprawiła go machnięciem dłoni.

– Nie, idź sam. Ja tu poczekam i poobserwuję ludzi. To bywa bardzo zajmujące.

– Na pewno?

– Tak, na pewno. Nie przejmuj się mną. Przyjdź po mnie przed rozpoczęciem występu.

Charles posłał jej pocałunek i pomaszerował na drugi koniec pomieszczenia. Sposób chodzenia zdradzał, że dobrze mu się wiedzie w życiu.

Charles Moskowitz był dyrektorem Metro-Goldwyn-Mayer, jednej z najśłynniejszych amerykańskich wytwórni filmowych. Ryczącego lwa, który pojawiał się w czołówce filmów, znał każdy, kto chociaż raz był w kinie.

Estée odprowadziła Charlesa wzrokiem, sącząc szampana i obserwując ciekawskie spojrzenia, które przykuwał – ze strony zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Jedni go podziwiali i ubóstwiali. Inni pragnęli, żeby rozpląnął się w powietrzu lub jak najszybciej się stąd oddalił. Estée przez chwilę biła się z myślami. Może jednak powinna dotrzymać mu towarzystwa? Każda nowa znajomość mogła mieć znaczenie. Koneksje bywały przydatne w interesach. W tej branży człowiek potrzebował wielu przyjaciół, którzy mogliby mu pomóc. W ostatnich latach Estée zbudowała rozległą sieć znajomych, którzy ją wspierali. Ale dzisiaj jakoś zabrakło jej chęci na jej rozszerzanie.

Estée miała wszystko, o czym zawsze marzyła, i była na najlepszej drodze do tego, aby odnieść jeszcze większy sukces. Dzięki

pracowitości i wytrwałości mogła dotrzeć na sam szczyt. Mimo to, wbrew oczekiwaniom, nie czuła tego wieczoru pełni szczęścia. Szampan miał zwietrzały smak. Humoru nie poprawiło jej nawet stworzenie nowego kremu, a przecież kiedyś nie mogłaby sobie wyobrazić niczego piękniejszego...

Queens, Nowy Jork, jesień 1922

Eszti siedziała już od dwóch godzin nad zeszytem, ale bez większych efektów. Nie napisała na razie niczego poza tytułem. Proste, pozbawione zawijasów litery odcinały się oskarżycielsko bładoniebieskim tuszem od śnieżnobiałej kartki. Jesienne słońce malowało jasne plamki na blacie biurka, a w jego promieniach tańczyły drobinki kurzu. Zamiast skupić się na wypracowaniu o *Chacie wuja Toma* Harriet Beecher Stowe, Eszti wolała przeglądać czasopismo swojej matki. Przed nią leżał najnowszy numer miesięcznika „Woman’s Home Companion”, z którego czytelniczki mogły się dowiedzieć, w jakich płaszczach zimowych zadałyby szyku podczas zakupów na mieście. Znalazły się tam także porady na temat modnych krótkich fryzur, artykuł o znanych aktorkach oraz przepisy na wspaniałe ciasta w sam raz na Święto Dziękczynienia. Eszti pominęła te ostatnie i przeskoczyła do szkiców modowych, gdzie zobaczyła ciemnoczerwony płaszcz, o jakim zawsze marzyła. Niestety z pewnością kosztownie drogi. Nigdy w życiu nie ubłagałaby rodziców, żeby kupili jej coś tak kosztownego.

Eszti westchnęła. Gdy dorośnie, chce zarabiać tyle pieniędzy, żeby było ją stać na najpiękniejsze ubrania z najbardziej ekskluzywnych butików na Manhattanie. Któregoś dnia wystąpi na Broadwayu i oczaruje widownię, stojąc w blasku reflektorów. Będzie grać w sztukach Oscara Wilde’a i Floydella. Albo w scenicznej adaptacji *Chaty wuja Toma*. Podobała jej się ta książka. Jutro bez najmniejszego

problemu zreferowałaby ją przed całą klasą, w końcu była utalentowaną mówczynią. Nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego pan Stringer, nauczyciel literatury angielskiej, tak bardzo nalegał, żeby streściła ją także pisemnie. To było zwykle marnotrawienie czasu. Eszti wolą oddać się lekturze czasopisma.

Otworzyła periodyk na artykule o aktorkach, gdzie ze zdjęcia uśmiechała się do niej Mary Pickford. Miała nieskazitelną, porcelanową cerę. Ciekawe, co robiła, żeby tak wyglądać. Eszti przysunęła sobie czasopismo do twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że zdjęcie jest prawdziwe. Rzeczona aktorka była uosobieniem piękna.

Rozmarzona Eszti opuściła gazetę. Oczami wyobraźni ujrzała siebie, jak stoi na scenie w olśniewającej wieczorowej sukni i raz po raz kłania się przed zachwyconą widownią, która nie przestaje obsypywać jej oklaskami. Eszti mogła całymi godzinami oddawać się tym marzeniom.

Wreszcie niechętnie odłożyła czasopismo. Teraz znów miała przed sobą zeszyt, nie potrafiła się jednak przemóc, żeby coś w nim zapisać. Powędrowała wzrokiem w stronę ogrodu. Jej biurko stało na niewielkim poddaszu, skąd widziała taras sąsiadów i porośnięty dziką roślinnością urokliwy kawałek ziemi, który przed laty nabył jej ojciec – dawny cmentarz, gdzie ona i jej siostra Renee spędziły beztroskie lata dzieciństwa wśród krzewów laurowiśni i dzikich róż. Teraz, jesienią, przywodził na myśl pagórkowaty krajobraz z barwnego pejzażu. Zupełnie jakby jakiś rozochocony malarz nie szczędził farb, po mistrzowsku dobierając rozmaite odcienie. Astry kwitły w soczystych fioletach, liście mieniły się pomarańczowo i żółto, a owoce dzikiej róży kładły czerwone akcenty na krzewach. Eszti lubiła wszystkie pory roku, ale najbardziej jesień. Powietrze było wtedy przesycone bogatym, głębokim aromatem dojrzałych owoców. Można było odnieść wrażenie, że przyroda chce się upewnić, iż ludzie nie zapomną przez nadchodzące skąpe zimowe miesiące, jaka jest różnorodna. W ostatnim zrywie objawiała się w pełnej krasie, a potem

zapadała w sen zimowy, żeby najpóźniej wiosną znów ucieszyć świat bogactwem nowych, subtelnych zapachów.

Eszti otworzyła białe drewniane okno, które miała przed sobą, i wciągnęła w płuca ciepłe wczesnojesienne powietrze. Najchętniej wzięłaby z kuchni pusty słoik po dżemie i napełniła go tą cudowną wonną mieszanką. Przed południem wujek John skosił trawę. Ciekawe, gdzie się teraz podziewał. Może znowu przeprowadzał w szopie jeden ze swoich małych eksperymentów? Na tę myśl Eszti się rozweseliła. Zdecydowanym ruchem zamknęła zeszyt i odsunęła go na bok.

Esther Mentzer. Taka tożsamość widniała na okładce. Urzędnik stanu cywilnego nie znał węgierskiego imienia Eszti, dlatego bez namysłu wpisał do jej aktu urodzenia amerykańskie imię Esther. To jednak nie powstrzymało jej bliskich od nazywania jej zgodnie z pierwotnym zamysłem.

Nad referatem mogła popracować później. Będzie miała na to jeszcze mnóstwo czasu wieczorem, w najgorszym razie skrobnie kilka zdań rano przy śniadaniu. Teraz jednak musiała zobaczyć się z wujkiem Johnem.

Wybiegła radośnie z pokoju, nieco zbyt głośno zatraskując drzwi, i zeskoczyła niecierpliwie po schodach na parter. Ostatnie trzy stopnie pokonała jednym susem. Dobrze, że jej matka tego nie widziała, bo znowu złażałaby córkę za jej nadmierną żywiołość. Eszti wymknęła się przez tylne drzwi do ogrodu, po czym czmychnęła obok rabat kwiatowych, zatrzymując się na chwilę przy kłosowcach i późno kwitnących różach. Nasyciwszy się ich upajającym zapachem, ruszyła w kierunku szopy. Mały jasnyniebieski drewniany domek znajdował się w głębi ogrodu. Tu i ówdzie od ścian odłaziła farba, a deski, z których był sklecony, przydałoby się odmalować.

Eszti zapukała, poczekała na rzucone przeciągle „Weeejdz!” i otworzyła drzwi. Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały. Eszti potrzebowała

chwili, żeby jej wzrok przyzwyczaił się do panującego w szopie półmroku. Tu czekały na nią zupełnie inne doznania zapachowe. Zamknęła oczy, żeby wyczuć każdą nutę. Olejek migdałowy mieszał się z aromatem paczuli i wosku pszczelego. Masło shea z olejem z awokado. Ściany niskiego pomieszczenia były aż po sufit zastawione regałami, a te z kolei były wypełnione słoikami, garnkami i puszkami. Znajdowały się w nich suszone rośliny, jak również rozmaite ciecze i proszki. Każdy pojemnik był opatrzony etykietą. Eszti uwielbiała przechadzać się wzdłuż półek i czytać te egzotycznie brzmiące nazwy, na których łatwo było połamać sobie język.

Wujek John stał pośrodku szopy przy drewnianym stole, na którym znajdował się destylator.

– Eszti, co za niespodzianka! – powiedział ze swoim twardym niemiecko-czeskim akcentem, tak kalecząc każde słowo, że trzeba się było dobrze wsłuchać, żeby rozpoznać, iż mówi po angielsku.

Eszti w zasadzie nie lubiła, kiedy przypomniano jej o pochodzeniu jej rodziny, ale ubóstwiała swojego wujka i przymykała oko na każdą jego wadę, nawet na jego osobliwą wymowę.

– Odrobiłaś już lekcje?

Wujek John odwrócił się do niej. Prawą ręką wymachiwał szklaną kolbą, w której przelewała się gęsta ciecz. Składała się z dwóch warstw, które różniły się od siebie barwą. Jak zwykle ilekroć wujek John pracował w swoim „laboratorium”, i tym razem miał na sobie białe fartuch.

W Czechach, dawniej ojczyźnie, gdzie jeszcze nazywał się Johann Schotz, prowadził małą aptekę, która przynosiła tak skromne zyski, że ani on, ani jego wspólnik nie byli w stanie z nich wyżyć. Kiedy rozpętała się wojna i cała Europa stanęła w płomieniach, Johann podjął decyzję. Pojechał w ślad za siostrą do Ameryki, zanim austriacki cesarz i jego wezwał na front, gdzie zapewne poniósłby bezsensowną śmierć wraz z tysiącami innych mężczyzn. Od tamtej pory mieszkał pod jednym dachem z Eszti, jej siostrą Renee i ich

rodzicami. Jej starsze rodzeństwo, sześcioro dzieci z pierwszego małżeństwa matki, dawno wyprowadziło się z domu.

Wujek John czekał, aż Eszti odpowie, mierząc ją badawczo wzrokiem znad okularów w metalowej oprawce.

– Musiałam zrobić sobie przerwę – wyjaśniła Eszti, choć przemilczała to, że strony w jej zeszycie wciąż były puste. Podeszła bliżej i zaczęła podziwiać garnuszki i szklane naczynia stojące na drewnianym stole.

– Czuję się zaszczycony, że postanowiłaś spędzić ją ze mną. – Wujek John uśmiechnął się szelmowsko. – Chcesz się czegoś nauczyć od starego aptekarza?

– O tak, chętnie!

W zeszłym tygodniu wujek John wytłumaczył jej, jak dzięki wyciagom wydobyć z roślin cenne substancje, które są potrzebne do wytwarzania maści leczniczych.

– Ale higiena przede wszystkim – oznajmił, siłąc się na surowy ton.

– Tak, oczywiście!

Eszti pobiegła do umywalki. Na obtłuczonym porcelanowym talerzyku leżała kwadratowa kostka mydła. Wujek John zrobił je sam. Pachniało konwaliami i lawendą. Eszti zwilżyła dłonie wodą, a następnie natarła je mydłem. W jednej chwili wytworzyła się cudownie miękka piana, która otuliła jej palce niczym milusia kołdra z pierza. Eszti bez pośpiechu namydliła każdy palec z osobna, patrząc, jak delikatne pachnące kopczyki piany opadają na dno umywalki i się tam rozpuszczają. Potem uniosła dłonie do twarzy.

– Eszti, nie!

Przestraszona zamarła z rękami w powietrzu. Wujek John uniósł ostrzegawczo palec.

– Woda i mydło są jak trucizna dla skóry twarzy.

Eszti natychmiast opuściła ręce, zmyła ostatnie obłoczki piany i wysuszyła dłonie.

– No to czym mam ją sobie umyć?

– Delikatnym olejkiem – odpowiedział wujek. – Taki olejek zbiera ślady brudu z całego dnia i zapobiega zapychaniu się porów.

Eszti nie kryła zmieszania.

– Ale czy olejek nie zapycha porów bardziej niż woda?

– Nie, raczej oczyszcza i odżywia skórę.

Dziewczyna nadal nie była przekonana.

– Żeby usunąć tłuszcz, musisz użyć innego tłuszczu – kontynuował wujek John. – Wyobraź sobie tłustą plamę po oleju na sukience. Jeśli chcesz się jej pozbyć, musisz użyć innej oleistej substancji, na przykład terpentyny.

Eszti w końcu zaczęła rozumieć.

– A żebyśmy nie musieli sprawdzać, jak to jest, proszę, idź po fartuch.

Wskazał w głąb szopy, gdzie wisiał drugi fartuch aptekarski. Eszti chętnie po niego pobiegła. Za każdym razem, gdy go wkładała, czuła się niesłychanie ważna. Fartuch sięgał jej do kostek i musiała podwinąć sobie rękawy.

– Co dzisiaj przygotowujesz?

Podeksytowana pochyliła się nad kolbą destylacyjną.

– Krem – odpowiedział wujek John. – W przeciwieństwie do maści, którą wyrabialiśmy w zeszłym tygodniu, krem zawiera wodę, dlatego potrzebujemy jakiegoś emulgatora.

Żądna wiedzy Eszti z ciekawością przyswoiła nowe słowo.

– Emulgator – powtórzyła z uznaniem.

Wujek John się uśmiechnął.

– Dzięki emulgatorom można połączyć dwa rodzaje płynów, które zazwyczaj się ze sobą nie mieszają.

Eszti nie chciała wyjść na niemądrą, dlatego nie spytała, co to znaczy, ale wujek John i tak wyczuł, że dziewczyna potrzebuje wyjaśnienia.

– Weźmy na przykład taką marynatę do sałatki – powiedział. – Twoja matka miesza ze sobą ocet, olej i sok z cytryny. Podczas gdy ocet i sok opadają na dno, olej pozostaje na wierzchu.

Eszti widziała już wielokrotnie, jak matka potrząsa marynatą w zamkniętym pojemniku, żeby wymieszać ze sobą wszystkie płyny.

– Kremy to nic innego jak emulsje powstałe z wody i tłuszczu. Szybko się wchłaniają i nawilżają skórę. – Wujek John pomachał kolbą i wtedy Eszti dostrzegła, że dwie cieczki połączyły się w jedną.

– Popatrz, to nasza baza do kremu. Teraz możemy do niej dodać, co tylko chcemy: substancje pielęgnujące, olejki zapachowe, leki...

– A możemy przygotować krem dla Belli?

– Dla twojej przyjaciółki Włoszki?

Skinęła głową. Isabella była jej najstarszą i najbliższą przyjaciółką. Jej rodzice pochodzili z południa Włoch, ale wyemigrowali do Stanów jeszcze przed jej narodzinami. Ilekroć Eszti odwiedzała Bellę, częstowano ją najsmaczniejszym makaronem i najbardziej chrupiącą pizzą. Bella miała śliczne, gęste i lśniące loki. W dzieciństwie Eszti zazdrościła jej pięknie opalonej cery, jednak odkąd ciało Belli nabrało kobiecych kształtów, dziewczynie zaczęły doskwierać różne dolegliwości skórne. Podczas gdy jej broda była wiecznie zaczerwieniona i tłusta, policzki pozostawały suche i stale się łuszczyły. Jej nos i czoło były usiane maleńkimi pryszczami, które Bella wyciskała, kiedy za bardzo urosły, co niestety tylko pogarszało sprawę. Eszti, która była obdarzona nieskazitelną cerą, potrafiła zrozumieć, dlaczego Belli jest przykro z tego powodu.

– Oczywiście, że możemy przygotować dla niej specjalny krem. – Wujek John odstawił kolbę. – Nie dalej jak w zeszłym tygodniu czytałem w fachowym czasopiśmie o takim krzewie, który rośnie tylko w krajach Nowego Świata.

– Nowy Świat... Przecież jesteśmy w Ameryce – przypomniała mu Eszti.

– A niech tam! – mruknął. – Ten krzew ma dziwną nazwę, zresztą jak wiele rzeczy, które tu znajdziesz.

Nie było tajemnicą, że wujek John tęsknił za swoją dawną ojczyzną. Najchętniej wsiadłby na najbliższy statek i wrócił do Europy. Sęk w tym, że sprzedał cały swój dobytek i zostawił wszystko za sobą.

– To oczar wirginijski, czyli inaczej *Hamamelis virginiana*.

Eszti nigdy nie słyszała o takiej roślinie. Obie nazwy brzmiały tak, jakby wujek John wyszperał je w jakiejś grubej książce z bajkami.

– Kora tego krzewu działa ściągająco i przeciwzapalnie. – Zdjął okulary. – Pamiętasz, w jaki sposób dodajemy ją do kremu?

– Oczywiście! – krzyknęła entuzjastycznie Eszti. – Robimy z niej wyciąg.

– Bystra z ciebie uczennica – pochwalił ją wujek.

– Pan Stringer, mój nauczyciel literatury angielskiej, niestety jest odmiennego zdania.

Wujek John machnął nonszalancko ręką i znów włożył okulary.

– Nie przejmuj się nim. – Wskazał słoik stojący na najwyższej półce. – Podaj mi lepiej tę cudowną roślinę.

Eszti podeszła do regału, szukając naczynia z napisem *Hamamelis virginiana*. Musiała się wspiąć na palce, żeby do niego dosięgnąć. Ostrożnie zdjęła je z góry.

– Mogę powąchać?

– Śmiało.

Odkręciła pokrywkę, przyłożyła nos do słoika i niemal natychmiast odwróciła głowę, krzywiąc się.

– O raju!

Wujek John wybuchnął śmiechem.

– A czego się spodziewałaś? To wyciąg z kory, nie z kwiatów.

– Bella na pewno nie wetrze sobie tego w twarz – oświadczyła z przekonaniem Eszti.

Wyobraziła sobie, jaki zapach miałaby ta mieszanka wody, tłuszczu i wyciągu z kory. I bynajmniej nie było to nic przyjemnego.

– Nieważne, jak krem pachnie na początku – wyjaśnił wujek John. – O efekcie końcowym decydujesz ty, dodając wybrane przez siebie substancje zapachowe.

– Myślisz, że mogę domieszać wody różanej i cytrynowej?

– Oczywiście. Powinnaś jednak pamiętać, że każda woda kwiatowa również zawiera substancje czynne.

– To znaczy, że płatki róży mają działanie lecznicze?

– Tak, naturalnie. Zapobiegają zapaleniu i wspomagają gojenie ran. Dlatego nadawałyby się jako dodatek do twojego kremu.

Eszti przesunęła wzrokiem po półkach. Nagle te wszystkie łacińskie nazwy roślin nabrały dla niej nowego znaczenia: *Rosa canina*, *Boswellia*, *Hippophae rhamnoides*... Nie dość, że brzmiały istic imponująco, jak składniki magicznego eliksiru, to najwyraźniej miały jeszcze magiczną moc. Eszti chciała je wszystkie poznać i dowiedzieć się, do czego się ich używa.

– Czy to znaczy, że mogę też przygotować krem dla Marii?

– Kim jest Maria?

– Przyjaciółką Belli. Ma spierzchnięte usta. Czasami są tak suche, że skóra wręcz pęka i krwawi. A potem tworzą się na nich brzydkie strupy. To wygląda okropnie i na pewno boli.

– Och, biedaczka – rzucił ze współczuciem wujek John. – Przyrządzenie balsamu do ust to błahostka.

– No a Sarah ma na policzkach małe krostki, a jej powieki są zawsze zaczerwienione.

– I na to powinno dać się coś zaradzić – stwierdził wujek.

Eszti przywołała w pamięci wszystkie swoje koleżanki z klasy. To było niesamowite. Każda narzekała na jakiś mniej lub bardziej poważny mankament. Bez względu na to, jaką miały urodę, żadna z dziewcząt nie wydawała się w pełni zadowolona ze swojego wyglądu. A przecież wszystkie były na swój sposób ładne. Bella miała błyszczące oczy, Maria zaraźliwy śmiech, a Sarah idealny nos.

– Wujku Johnie – powiedziała uroczyście Eszti. – Pokażesz mi, jak przygotować naprawdę dobry krem? Chcę, żeby wszystkie dziewczyny potrafiły dostrzec, jak bardzo w rzeczywistości są ładne.

– Myślisz, że krem jest w stanie tego dokonać? – W głosie wujka Johna słychać było lekkie rozbawienie.

Ale Eszti nie dała się zbić z pantałyku.

– Tak, wystarczy, że nauczą się dostrzegać swoje piękno. Jeśli poświęcą trochę czasu i zadbają o siebie, w czym pomoże im ten wspomniały krem, na pewno im się to uda.

– No, skoro tak, to chętnie ci pokażę – odparł z uśmiechem. – Zresztą i tak pierwsza lekcja już się zaczęła.